

Powstanie warszawskie z innej strony

3 sierpnia 2014

Nasze publicystyczno-literackie pamiętnikarstwo wojenne ma w sobie coś z opowieści Gogoła „Wij”. Krąg zarysowany kredą święconą, poza który sami sobie nie pozwalamy wykroczyć. Stąd deptanie na miejscu w otoczeniu licznych „tabu”, zamykających umowne horyzonty. W takim kręgu obraca się m.in. temat powstania warszawskiego, który wciąż nie schodzi ze szpalt i prawdopodobnie przez długi czas nie zejdzie. Żadne jednak z ujęć tego tematu nie będzie całkowite, dopóki nie będzie wolno mówić o pewnych sprawach. Tymczasem wszechstronna ocena ostatniej bitwy o Warszawę jako o stolicę suwerennej Polski musi wyjść z założenia właśnie tej suwerenności, tzn. uznania, że najeźdźca sowiecki (jeżeli nawet przyjmiemy, że nie był gorszy) był równy najeźdźcy niemieckiemu. Od czasu do czasu wyrwie się to komuś, ale zazwyczaj odskakuje się od tego prostego stwierdzenia w płasach i ukłonach, a koniec końców, Bogiem a prawdą, nikt nie dał dokładnej definicji: czy Sowiety są naszym wrogiem, czy wrogiem nie są? Są najeźdźcą, czy nie? Odebrały nam niepodległość, czy nie odebrały? Czy „Kraj” to jest „Polska”, czy tylko obca okupacja? Czy panowie Mikołajczyk-Bierut-Osóbka-Cyrankiewicz to quislingi, czy też jakieś pośrednie zjawisko: mieszanina „dobrej woli” z agentem NKWD, według fantastycznej recepty rosyjskiego kawału: „smies popa s wiełosipiedom”?

Sytuację tę zrodził sofizmatyczny termin „sojusznik naszych sojuszników”, nadany Związkowi Sowieckiemu jeszcze w r. 1943. Ta nieszczerza i dziwaczna definicja mści się na nas do dziś.

Jeżeli natomiast wyjdziemy z założeń prostych, jasnych, ogólnie zrozumiałych i za „dobrych przedwojennych czasów” powszechnie przyjętych, określających mianem wroga każdego, kto najeżdża naszą ojczyznę, to i na powstanie warszawskie

będziemy mogli popatrzeć obydwoma oczami, a nie, jak dotychczas, przymrużając jedno dyskretnie.

Na tej fatalnej sytuacji r. 1944 trudno zrozumieć, dlaczego ogół Polaków potępia akcję, której najoczywistszym celem było restytuowanie suwerennej stolicy z suwerennymi władzami i suwerennym wojskiem, wtedy, gdy rzecz ta była łatwa do zrobienia? Jeden wróg odchodził, drugi nadchodził. Pomiędzy tych dwóch wrogów wstawić niepodległy skrawek, ba, centrum Polski! Co w tym było głupiego albo zbrodniczego? Oczywiście, że nic, gdyby sprawę można było jasno postawić. Złożyło się jednak tak, że jeden z wrogów nie tylko odchodził, ale dogorywał. Natomiast tym drugim, który nadchodził, były Sowiety. A zatem ostrze akcji samo przez się skierowane by być musiało przeciwko nim. „Skandal!” „To by nas kompromitowało w oczach demokracji!”... Umówiono się zatem, żeby powstanie przedstawić w innym świetle, i w ten sposób spaczono jego sens od początku do naszych dni.

A jak położenie wyglądało naprawdę?

Odwrót armii niemieckiej był w pełnym toku. W ostatnich dniach lipca osiągał swój punkt szczytowy, a wraz z nim nieuchronny bałagan. O żadnej mobilizacji mężczyzn pod pretekstem robienia fortyfikacji nie było mowy. Głośniki radiowe nadały surowy rozkaz, aby „wszyscy zdolni od lat 16 itd.” zgłosili się z łopatami na wyznaczonym szeregu punktów zbornych, skąd ludzi zabiorą ciężarówki. Byli przekonani, że nie zjawi się nikt. Tymczasem tu i ówdzie poprzychodziło po kilkadziesiąt osób. Sam widziałem, jak na wyznaczonym m.in. pl. Narutowicza zebrało się ok. 70 (!) ludzi z łopatami, którzy daremnie czekali na przyjazd samochodów. Jednego z takich naiwnych spotkałem jeszcze o 11.30 na ulicy Filtrowej, gdy wracał z łopata zniechęcony i zawiedziony (obiecano przecie wyżywienie i zapłatę).

W piątek i sobotę okna pobrzękiwały od dalekiej kanonady. Radio Londyn nadało wiadomość, że marszałek Rokossowski

przeniósł swą kwaterę w orbitę widoczności Warszawy, i że stamtąd spogląda gołym okiem na stolicę Polski. 30 lipca al. Jerozolimskimi wycofywały się ostatnie tabory niemieckie, a później zaczęły iść czołgi za Wisłę. Na ulicach wisiały nie zrywane obwieszczenia delegatury podziemnej. Żałuję, że nie miałem aparatu, gdyż sfotografowałbym następujący dokument historyczny. Na rogu Brackiej i Widok, wokół obwieszczenia Delegatury Rządu, naklejonego na słupie, zebrał się tłum ludzi. W tłumie tym stało czterech „granatowych” policjantów i dwóch żołnierzy Wehrmachtu. Była 10 rano. Żołnierze ci pytali o drogę, a zwabieni zbiegowiskiem, zainteresowali się, co plakat zawiera, i odeszli następnie obojętnie. O 11 byłem na Pradze. Niemcy palili dworce i składy, jak się normalnie pali przed oddaniem terenu w ręce wroga. Powracając, na moście Kierbedzia zauważyłem, że jakiś spotniały kolejarz krzyknął do samochodu, którym jechali z Pragi (widocznie z frontu) kurzem okryci żołnierze:

– Wie weit?!

Żołnierz, pokazując dwa razy po dziesięć palców, odkrzyknął:

– Zwanzig Kilometer!

31 lipca z jednego tylko Dworca Zachodniego usuwano resztki wagonów. Nie było już ani porządku, ani kontroli. Każdy, kto chciał, mógł siadać i jechać bez żadnej przepustki. W takich warunkach powstanie, które wybuchło dopiero 1 sierpnia po południu, mogło liczyć na zupełny sukces i minimalne straty, co najwyżej w potyczkach z cofającymi się strażami tylnymi. Formalnie, przed świtem, Warszawa wyzwolona by była przez wojska polskie, a wkraczającego nowego najeźdźcę powitałyby suwerenny sztandar, zatknięty w suwerennej, wolnej stolicy. Otóż tego bolszewicy chcieli uniknąć za wszelką cenę. Czy można się było spodziewać takiego ich stanowiska? Do pewnego stopnia tak. Na czym więc polegał błąd w rachunku powstańców, który doprowadził do straszliwej katastrofy Warszawy?

Nie wiem, czy w ogóle można tu mówić o błędzie w rachunku logicznym. Bo jeżeli można było się spodziewać, że takie stanowisko zajmą Sowiety, niepodobieństwem było przewidzieć bezmiar zaślepionej, zaciętej tępoty Hitlera. Nawet po wszystkich doświadczeniach okupacji, nawet po zetknięciu się z tymi szaleństwami maniaka, który zatracił wszelkie poczucie rzeczywistości, nawet po tym całym krwawym tańcu epileptycznej polityki na ziemiach naszych i nie naszych. Jakkolwiek sytuacja Niemiec była już wtedy beznadziejna, to choćby dlatego, że czepiały się one rozpaczliwie każdej pozostałej jeszcze możliwości, powinny się były uchwycić oburącz okoliczności, że na drodze marszu Armii Czerwonej stawała suwerenna Polska, nie uznawana i znienawidzona przez Sowiety. Że powstała możliwość nowych incydentów i powikłań w obozie sojuszniczym. W każdym razie z punktu interesu niemieckiego nic nie przemawiało za utrzymaniem ogniska powstania na tyłach swego frontu, a wszystko za pozostawieniem go oko w oko z Armią Czerwoną. Nawet gdyby z tego zetknięcia nie miało być chleba... Manewr Rokossowskiego był tak przejrzysty co do swego celu, iż nie mogli go nie spostrzec Niemcy. Rzecz była oczywista, nie podlegająca dyskusji.

Znam osobiście ludzi o głośnych i patriotycznych nazwiskach, którzy próbowali pośredniczyć w sprawie pozostawienia przez władze niemieckie zbyt cennej broni. Pośrednictwo to zostało odrzucone, zarówno przez stronę niemiecką, jak polską. Z jednej strony emocjonalna zaciekłość przeważała nad interesem politycznym, z drugiej obawa przed cieniem nawet „współpracy” przeważała nad obawą i troską o dobro ojczyzny.

Krew, zalewająca oczy Hitlera, pomieszała mu resztę rozsądku. Wiadomo już dziś, że Warszawa to była jego osobista sprawa, jego „Angelegenheit”. W ten sposób, najmniej oczekiwany i nieprawdopodobny, podobnie jak w r. 1939, odnowił się antypolski pakt sowiecko-niemiecki, nie pisany wprawdzie i nie podpisany, ale niemniej namacalny, a bardziej krwawy. Hitler nazwał zupełnie słusznie powstanie „drugim Katyniem”. Gdyż

podobnie jak pierwszy, doszedł do skutku wyłącznie w interesach sowieckich, z tą tylko różnicą, że wykonany nie rękami enkawudzistów, ale Niemców. Był to z ich strony obłęd dosłowny i, doprawdy, trudno jest winić kierowników powstania, że go nie przewidzieli.

Charakterystyczne jest to, że dotychczas nie została poddana poważniejszej analizie raptowna zmiana stanowiska niemieckiego przy końcu powstania. A przecież rzecz rzucała się w oczy. Skreśleni zostali przez cenzurę „die polnischen Banditen”; powstańcom przyznano prawa armii regularnej. Wiadomo również, że wymaszerowujące po kapitulacji oddziały Armii Krajowej witano orkiestrą, i że gen. Bór zaproszono na liczne rozmowy, podczas których wysłuchiwać miał nowych propozycji. Oczywiście zrobiono to wszystko niezgrabnie, za późno i wciąż z tym tępym uporem i brutalną „herrenvolkowością”, która charakteryzowała politykę hitlerowską, a która odzierała wszystkich ich sojuszników z postawy suwerennej godności i spychała do roli posłusznych rabów, w rodzaju bałtyckich i ukraińskich oddziałów SS. Z tego punktu widzenia nie jest ważne, czy gen. Bór podczas tych rozmów pił herbatę, jak chce prasa bolszewicka, czy jej nie pił. Propozycje niemieckie odrzucił kategorycznie – i słusznie: gdyż w tym położeniu nie przedstawiały one żadnej rzeczywistej korzyści dla Polski. Ale ta kardynalna wolta w stanowisku niemieckim potwierdza w całej rozciągłości fakt, że gdy minął atak prywatnego szału Hitlera, odsłonił się zarys innej drogi, po której mniej więcej potoczyć by się winny wypadki, gdyby Hitler podobnym atakom szału nie podlegał i był w stanie kalkulować. Niewątpliwie przebieg powstania wyglądałby wtedy inaczej.

Naturalnie słowo „gdyby” nie jest w rozważaniach nad wypadkami minionymi słowem popularnym. Nie znaczy to jednak, ażeby dla zdobycia popularności wyzbywać się rozsądku. Cała sprawa powstania zvekslowana jest dziś na jednotorową propagandę i przedstawiana w ten sposób, jakby chodziło o to, że garstka bezbronnych szaleńców rzuciła się w niepoczytalnym stanie

podniecenia i patriotyzmu na opancerzonego kolosa i za straty, jakie wywołała skutkiem swej lekkomyślności, powinna ponieść odpowiedzialność. Tak wcale nie było.

Powstanie warszawskie spowodowało potworne straty materialne. Straty te są do powetowania. Nie do powetowania są straty w zabytkach, dziełach sztuki, pomnikach itd. Co się tyczy strat w ludziach, wyglądają one inaczej, niż to przedstawia powszechnie przyjęta wersja. Himmler, ażeby odstraszyć Polaków od prób nowej akcji zbrojnej, oświadczył, że liczba ofiar wynosi ćwierć miliona. Dla tych samych celów bolszewicy podtrzymali tę cyfrę. Z naszej strony próbowano ją nawet wyśrubować do – trzystu tysięcy! Jeden z najznakomitszych polskich statystów wojennych, który był w powstaniu (nie mogę wymienić nazwiska ze względu na jego obecny pobyt w kraju), utrzymywał, że straty Armii Krajowej łącznie z ludnością cywilną w żadnym wypadku nie przekraczają pięćdziesięciu tysięcy.

W świetle tego wszystkiego trudno mówić o „błędzie” gen. Bora, który dał do niego hasło. Zastrzeżenie mogłoby budzić raczej jego obecne stanowisko. Gen. Bór przebywał w Ameryce i kilku krajach Europy i wszędzie, gdzie mówił albo udzielał wywiadów podkreślał, jak to Polacy wspomagali Armię Czerwoną w akcji, a jej dowódców podejmowali w Polsce śniadaniami i bankietami. Trudno zaprzeczyć, że w tradycji przywykliśmy do innych zwyczajów, które zresztą utrzymywane są w większości krajów. Nie zwykło się wrogów podejmować śniadaniami, gdy wkraczają, by odebrać terytorium i niepodległość. Toteż wydaje się, że niejeden cudzoziemiec, mniej zorientowany w subtelnościach politycznych labiryntów Polski, może wyrazić zdziwienie w taki np. sposób: „Skoroście im tak pomagali w opanowaniu własnego kraju i podejmowali śniadaniami na powitanie, dlaczego się skarżycie, że u was pozostali?!”.

Autor: Józef Mackiewicz

Tekst opublikowany w „Wiadomościach” w 1947 r.

Źródło: [Fundacja Wolność i Pokój](#)